

Krótki wyjazd zawodowy, więc turystycznie tylko szybki spacer po centrum Madrytu w środę (ale i tak ponad 16 kilometrów w nogach). Z zupełnie nowych odwiedzonych miejsc *Ermita de San Antonio de la Florida* – niewielka kaplica ozdobiona freskami przez Goyę, która sto lat po śmierci malarza stała się jego mauzoleum. Malarz zmarł w Bordeaux (dokład wyemigrował na stare lata z przyczyn politycznych w roku 1824) i został początkowo tam pochowany (na cmentarzu *La Chartreuse*). Pod sam koniec XIX wieku, z inicjatywy rządu hiszpańskiego został ekshumowany i przeniesiony do madryckiej kolegiaty św. Izydora (ale bez czaszki, która najprawdopodobniej została zabrana do analizy frenologicznej – ta pseudonauka była bardzo modna w XIX wieku). W roku 1929 wykonano kolejną ekshumację, w wyniku której jego szczątki trafiły tam, gdzie się obecnie znajdują.

W kaplicy niestety nie można robić zdjęć, co jest ściśle egzekwowane przez cerberki – damy w nieokreślonym, choć zaawansowanie średnim wieku, ale za to z mocnym poczuciem misji. Fresk w kopule przedstawia cud św. Antoniego Padewskiego, który ożywił trupa, aby ten przemówił na procesie swojego zabójcy (tutaj należy zaznaczyć, że święty nie był całkiem bezstronny, albowiem oskarżonym był jego własny ojciec, skutecznie uniewinniony świadectwem chwilowo ożywionej ofiary). Przy prezbiterium płyta grobowa (przeniesiona z Bordeaux), pod którą Goya minus głowa. Kaplica ożywa (w sensie liturgicznym) dwa razy do roku – 30 marca i 16 kwietnia (w rocznice urodzin i śmierci Goyi), kiedy to odprawiane są w niej msze. W pozostałe dni – po sąsiedzku (w roku 1929, gdy umieszczono w kaplicy lokatora powielono ją metodą kopiuj-wklej tuż obok (choć oczywiście zreplikowano tylko bryłę, bez wystroju wnętrza). Przydomek de la Florida nawiązuje do nazwy farmy, która mieściła się na tym terenie w XVIII wieku. Ten konkretnie święty Antoni miał szczególne powodzenie u praczek pracujących nad pobliską rzeką Manzanares (warto zapamiętać tę nazwę, bo to – mimo niepokąźnego wyglądu – najważniejsza rzeka przepływająca przez Madryt), które suplikowały w kaplicy o korzystne i szczęśliwe małżeństwo. Podobno co roku 13 czerwca odbywa się fiesta ludowa ku czci świętego w parku sąsiadującym z kaplicą (kaplicami).

Po drodze do mauzoleum Goi (kawałek za świątynią Debod, w pobliżu dawnej stacji kolejowej *Estacion de Norte*) zajrzałem do poleconego mi przez Dorotę *Museo Cerralbo* - rezydencja z końca XIX wieku z dobrze zachowanymi wnętrzami oraz kolekcją dzieł sztuki. Markiz Cerralbo miał to szczęście, że jego liczni wujowie i stryjowie byli bezdzietni, co spowodowało na niego istny deszcz spadków (część tytułów arystokratycznych odstąpił swoim wielu

braciom), a roztropne zarządzanie majątkiem pomnożyło go wielokrotnie. W końcu ożenił się z... matką swojego szkolnego kolegi, starszą od niego o lat bez mała trzydzieści, z dziećmi z poprzedniego małżeństwa w wieku pana młodego. Małżeństwo miało również charakter polityczno-finansowy, ale okazało się być szczęśliwym. Z uwagi na wiek panny młodej nie doczekało się potomstwa (zresztą i obydwójce pasierbów markiza zmarło bezpotomnie), więc - zgodnie skądinąd z testamentem markiza - pałac i jego całe wyposażenie przekazane zostało miastu jako muzeum.

Już klatka schodowa zwraca uwagę zwiedzających, a dalej jest tylko lepiej. Markiz znał się na malarstwie, więc ze ścian spogląda na nas niezły (choć bardzo eklektyczny) przegląd malarstwa włoskiego i hiszpańskiego: Carracci, Cano, Zurbaran, Tintoretto, a nawet jeden El Greco. Perłą pierwszego piętra jest sala balowa (z żyrandolami z Murano). Splendor łazienki podkreśla marmurowa wanna. Pan domu miał również ambicje polityczne (podejmował swoich gości w sali bilardowej) oraz naukowe (archeologiczne), o czym świadczy dobrze zaopatrzona biblioteka. Do willi przylega niewielki ogród (włoski z charakteru) z sadzawką.

W kategorii pomników - na Plaza de España (przy końcu Gran Via) stoi sobie "kamieni kupa", której sens ujrzyć można dopiero, gdy spojrzeć na nią z południowo-zachodniej strony. To pomnik Cervantesa, który siedzi i patrzy na odjeżdżających Don Kichota i Sanczo Panse. Na wierzchołku trzydziestometrowego pomnika kula ziemiska i pięć postaci kobiecych pogrążonych w lekturze - to już nawet nie alegoria, tylko łopatologia: cały świat, wszystkie pięć kontynentów, czyta dzieła Cervantesa.

W pobliżu, w niewielkim parku, pomnik opisany jako *Al pueblo del dos de mayo de 1808*, a przedstawiający scenę heroiczno-martyrologiczną: armata, mały chłopiec, postać skrzydlata, dołem trupy. To, jak można wydedukować chociażby z daty, upamiętnienie powstania antyfrancuskiego, znanego szerzej z obrazów Goi wiszących obecnie w Prado ([Szarża Mameluków](#) oraz [Rozstrzelanie powstańców madryckich](#)).

I wreszcie trzeci pomnik (siedzącej postaci kobiecej), który - nie bez pewnej dumy - rozpoznałem od razu (po olbrzymim ryngrafie). To Juana Ines de la Cruz, znana nam z Meksyku XVII-wieczna poetka, pisarka, wreszcie zakonnica.

Na powrocie zahaczyłem o *Campo del Moro* – ogrody na zapleczu pałacu królewskiego (*Palacio Real*), z ładnymi osiami widokowymi i dwoma zabytkowymi fontannami z końca XIX wieku (*Los Tritones* i *Los Conchas*). Nazwa parku pochodzi od obozowiska Maurów, którzy obozowali tutaj w XII wieku, rzecz jasna w złych wobec Madrytu zamiarach. W parku odbywały się treningi dla woźniców karek, co wyglądało dość spektakularnie (zaprzęgi w sześć i osiem koni). A na przód pałacu królewskiego trafiłem akurat zupełnym przypadkiem w samo południe, aby być świadkiem zmiany warty. Dobrze wrócić w miejsce nawet bardzo dobrze znane, bo z jednej strony miło odwiedzić stare kąty, a z drugiej zawsze można znaleźć coś nowego.